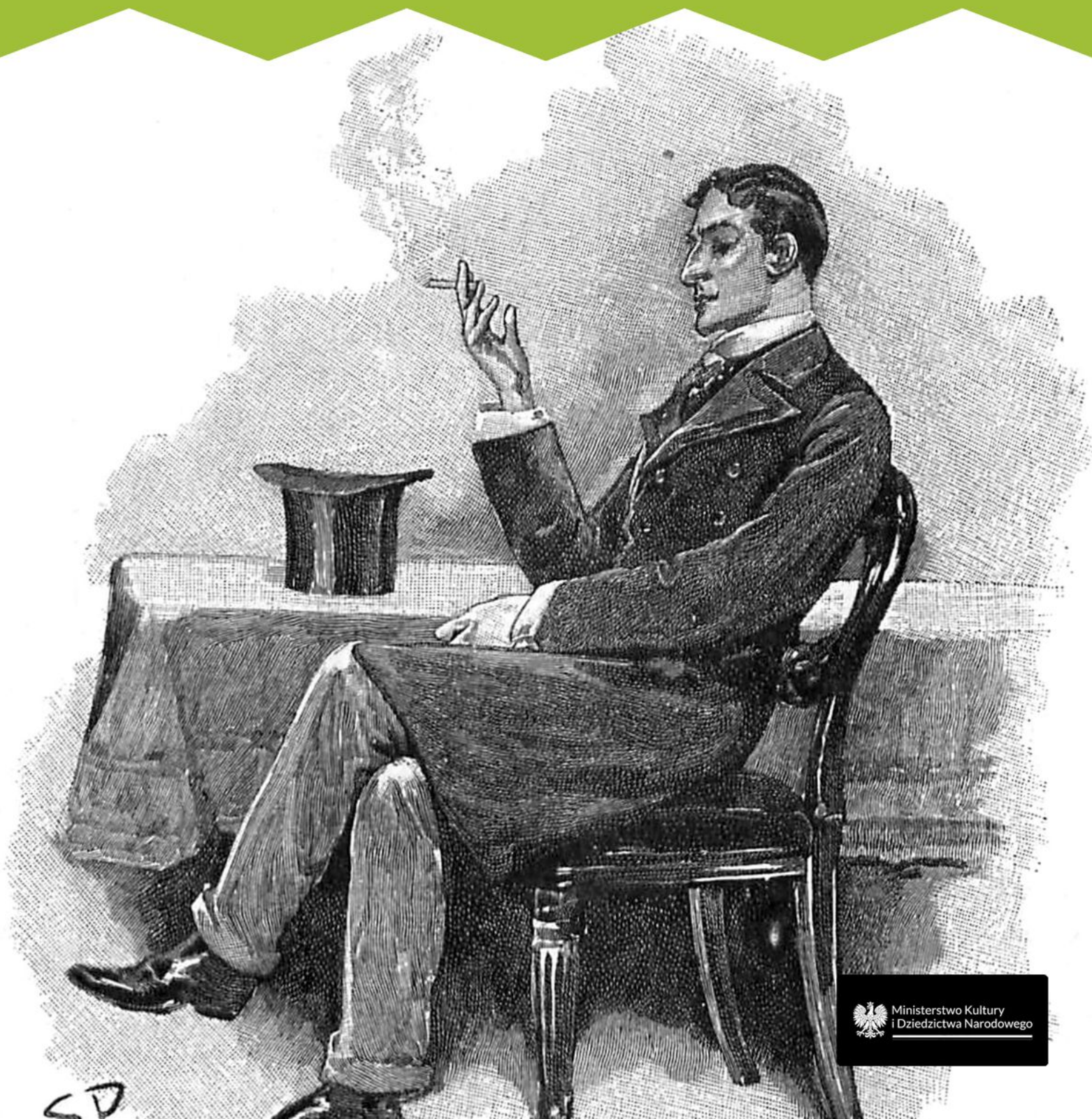


Czarny Piotr



CONAN DOYLE

Czarny Piotr

TŁUM. NIEZNANY

Nigdy nie widziałem Sherlocka Holmesa w takiej pełni sił umysłowych i fizycznych, w takim rozkwicie, jak wtedy, gdy przypatrywałem mu się w roku 1895. Jego sława wzrastała z dnia na dzień, a za nią szła olbrzymia, ciągle rosnąca praktyka.

Naraziłbym się na słuszny zarzut niedyskrecji, gdybym wymienił lub choćby tylko pozwolił domyślać się nazwisk klientów, którzy przestępowali skromne progi naszego mieszkania przy Baker Street. Mimo tego powodzenia Holmes żył, jak każdy wielki artysta, wyłącznie dla swej sztuki. Tylko w dwóch wypadkach, o ile wiem, można było mówić o wynagrodzeniu. Jednym z nich były znane poszukiwania syna księcia Holdernesse. Poza tym cena nigdy nie pozostawała w proporcji do bezinteresownych usług, które Holmes oddawał swoją wiedzą i sprytem.

Zresztą, nawet w przyjmowaniu propozycji kierowała Holmesem artystyczna wybredność. Nieraz odmawiał pomocy ludziom możnym i bogatym, jeżeli kwestia, o którą szło, nie wydawała mu się interesująca, a przypadek sam w sobie mógłby być rozwiązany przez zwykłego agenta policji. Nieraz znowu całe tygodnie poświęcał bezinteresownie sprawom ludzi biednych, jeżeli trafił na godne siebie i prawdziwie ciekawe zadanie, i jeżeli dramatyczne okoliczności sprawy apelowały do jego czynnej wyobraźni i wyzywały bystrość.

W tym pamiętnym roku 1895 różne ciekawe historie zajmowały bezustannie barwnym kalejdoskopem życie i pracę Sherlocka, począwszy od słynnego śledztwa z powodu nagłej śmierci kardynała Tosca aż do aresztowania Wilsona, hodowcy kanarków — aresztowania, które oczyściło dzielnicę East End w Londynie od hańbiącej plamy. Po tych dwóch słynnych wypadkach nastąpiła zaraz tragedia z Woodman's Lee oraz bardzo zawiślana historia tycząca się śmierci kapitana Piotra Careya i towarzyszących jego zgonowi bardzo dziwnych okoliczności. To, co opowiadałem dotychczas o Holmesie, nie byłoby wiernym obrazem jego działalności, gdybym pominął ten wysoce ciekawy i charakterystyczny epizod.

W pierwszych dniach lipca Holmes tak mało bywał w domu, że wiedziałem zaraz, iż ma jakąś napiętą sprawę. Od czasu do czasu pojawiali się też w naszym mieszkaniu jacyś obdarci ludzie, zapytując za każdym razem o kapitana Basila. To znów świadczyło, że Holmes działa w przebraniu, jak to często czynił, aby ukryć swą dobrze znaną i nieraz budzącą postrach powierzchowność. W różnych stronach Londynu miał on najmniej pięć małych pokoików, gdzie mógł się spokojnie zamieniać w innego człowieka. Zresztą nie mówił mi nic, co czyni, a ja znów nie miałem żadnej przyczyny domagać się wyjaśnień przed czasem, wiedząc, że gdy nadejdzie pora, sam mi ich udzieli.

Jednak tym razem w szczególny sposób dał mi pierwszą wskazówkę co do kierunku, w jakim obecnie działa. Pewnego dnia wyszedł wcześniej, jeszcze przed śniadaniem, a wrócił właśnie w chwili, gdy ja, ubrawszy się, zasiadłem do stołu. Wszedł do pokoju w kapeluszu na głowie, trzymając pod pachą niczym parasol potężny kij z ościeniem¹ na końcu.

— Na miłość boską — zawołałem — przecież nie chodziłeś chyba po mieście z tym instrumentem pod pachą?

— Byłem u rzeźnika i teraz wracam.

— U rzeźnika?

¹ościen — zaostrzone widelki osadzone na drewnianym trzonku. [przypis edytorski]

— Jeździłem tam.

— O tej porze?

— Tak jest. I wracam z doskonałym apetytem. Nie ulega wątpliwości, mój drogi, że ruch przed śniadaniem wybornie działa na apetyt, zwłaszcza zaś ćwiczenia fizyczne. Założę się jednak, że nie zgadniesz, jakiego rodzaju jest gimnastyka, którą właśnie uprawiam.

— Nawet nie próbuję odgadnąć, bo wiem, że próżne wysiłki.

Holmes śmiał się po cichu, patrząc równocześnie, jak nalewam kawę do filiżanki.

— Gdybyś mógł zajrzeć do magazynu, który przylega do sklepu Allardyce'a, zobaczyłbyś tam ciekawe widowisko: na haku u powały² wisi wielka świnią, zarżnięta *lege artis*³, a przed nią człowiek, który dźga ją tym instrumentem z wściekłością i zapalem. Tym energicznym osobnikiem byłem ja sam i udało mi się przekonać, że choćbym wyżył wszystkie siły, to jeszcze nie mogę całej świni przebić na wylot od jednego zamachu. A może ty byś spróbował?

— Dziękuję. Ale dlaczego urządziłeś takie próby?

— Bo zdawało mi się, iż ma to pośredni związek z zagadką Woodman's Lee.

Ktoś zapukał i drzwi się otworzyły.

— Witam pana, panie Hopkins. Otrzymałem pańską depeszę tej nocy i czekałem na pana. Proszę podejść i siąść z nami tutaj do stołu.

Człowiek, który właśnie wchodził, był młody, lat może trzydziestu. Na sobie miał lekkie ubranie letnie, lecz trzymał się prosto i z pewną sztywnością, która wskazywała raczej na przyzwyczajenie do chodzenia w mundurze. Poznałem zaraz, że widziałem już tę twarz. Był to Stanley Hopkins, młody agent policyjny, o którego zdolnościach Holmes miał wielkie wyobrażenie. Stanley odpłacał mu za to podziwem i szacunkiem takim, jaki może mieć chyba uczeń dla znakomitego nauczyciela.

Zaraz można było spostrzec, że Hopkins jest nie w humorze. Usiadł przy stole z bardzo niezadowoloną miną.

— Może pan coś przekąsi?

— Dziękuję. Zjadłem już śniadanie. Noc spędziłem w mieście, bo przybyłem wczoraj, aby zdać raport.

— A o czym pan donosił?

— O tym, że mi się nie powiodło. Zupełna klęska.

— Więc najmniejszego postępu?

— Żadnego. Ani na jotę.

— O, do licha! Chciałbym rzucić okiem na tę kwestię.

— Dałby Bóg, aby tak się stało. To pierwsza sprawa, w której mogę się odznaczyć, a niestety znalazłem się u kresu mej mądrości bardzo szybko. Gdyby pan był tak łaskaw podać mi rękę...

— Ależ dobrze, dobrze. Jak to doskonale się składa, że czytałem już wszystkie doniesienia o całej kwestii, aż do protokołu obdukcji zwłok. Czytałem nawet dość uważnie. Ale, ale, cóż pan myśli począć z tym kapciuchem⁴, który znaleziono na miejscu zbrodni? Podobno to pan sam go znalazł? Czy z tego nie da się nic wywnioskować?

Hopkins spojrzał na Sherlocka nie bez zdziwienia i odpowiedział:

— To był jego własny kapciuch, z jego monogramem na wierzchu. Przy tym zrobiony był ze skóry psa morskiego⁵, a on sam był marynarzem i polował na psy morskie.

— Ale fajki nie miał przy sobie.

— Tak jest, nie miał, lecz podobno palił bardzo mało, a tytoń mógł nosić raczej dla przyjaciół aniżeli dla własnego użytku.

— Bez wątpienia. Wspominam tylko o tym szczególe, bo gdybym to ja prowadził dochodzenia, użyłbym go za punkt wyjścia. Ale tak czy inaczej mój przyjaciel, doktor Watson, nie zna tej całej historii, a nie zaszkodziłoby także i mnie, gdybym posłuchał jej raz jeszcze. Przyda się takie krótkie zebranie wypadków. Niech pan nam je naszkicuje.

Hopkins wyciągnął z kieszeni skrawek papieru.

²powala — drewniany strop; sufit. [przypis edytorski]

³lege artis (łac.) — wedle reguł sztuki. [przypis edytorski]

⁴kapciuch — woreczek z tytoniem. [przypis edytorski]

⁵pies morski — inaczej foka pospolita. [przypis edytorski]

— Mam tu parę dat, które razem tworzą zarys kariery życiowej Piotra Careya, kapitana okrętowego, zabitego przez nieznaną sprawcę czy sprawców. Urodził się w roku 1845, miał zatem pięćdziesiąt lat. Był to człowiek bardzo śmiały, wyborny kierownik wszelkich połowów na wieloryby i foki. W 1883 roku komenderował statkiem „Narwał” z Dundee⁶. Zaraz potem udało mu się zrobić kilka świetnych połowów i już w następnym roku mógł się usunąć od interesu. Podróżował wiele, potem kupił niewielką posiadłość zwaną Woodman’s Lee, niedaleko Forest Row w Sussex. Tam mieszkał przez sześć lat i tam też przed tygodniem właśnie zmarł nagłą śmiercią.

Hopkins napił się wody.

— Był to człowiek ciekawy, trochę dziwak; zwyczajnie odznaczał się purytańską⁷ wstrzeźliwością, był surowy, milczący i ponury. W domu miał żonę, dwudziestoletnią córkę i dwoje służby kobiecej. Służbę ciągle zmieniał, gdyż praca u niego nie należała do najmiłszych i mało kto mógł wytrzymać dłużej. Carey miewał bowiem okresy pijaństwa, a gdy się upił, stawał się człowiekiem nie do zniesienia. Wiadomo, że wypędzał nieraz o północy czy nad samym ranem żonę albo córkę z domu i gonił je po parku bitem tak, że ich krzyki dochodziły aż do sąsiadów. Budzili się i słuchali, co to za awantura. Raz stawał przed sądem za napad na starego księdza, który go odwiedzał i przy tej sposobności czynił mu różne słuszne uwagi. Słowem, trzeba by daleko szukać, nim znalazłby pan człowieka bardziej niebezpiecznego niż Carey. Słyszałem, że tą sławą cieszył się już, gdy dowodził okrętem. Znano go w całej marynarce jako „Czarnego Piotra”. Nazwano go tak nie tylko dla czarnych włosów i oliwkowej, prawie brunatnej cery, lecz także dzięki przymiotom charakteru, które czyniły zeń⁸ postrach całego otoczenia. Nie potrzebuję dodawać, że sąsiedzi go nie lubili i nie słyszałem, aby ktoś wyraził żal z powodu strasznej śmierci, jaka go spotkała.

— A miejscowość, gdzie dokonano zbrodni?

— W protokole obdukcji musiał pan czytać, że Carey miał swoją „kabinę”. Tak jest, kabinę. Tak nazwał sobie drewniany domek zbudowany obok folwarku, o kilkaset kroków od właściwego domu mieszkalnego, i tam sypiał co noc. Była to mała chałupka o jednym pokoju. Dłuższa ściana miała szesnaście stóp⁹, a krótsza dziesięć. Klucz nosił zawsze w kieszeni, sam słał łóżko, sam porządkował i sprzątał, i nikomu nie pozwalał wejść za próg. Po obu stronach domu były małe okienka, zawsze zasłonięte frankami i nigdy nieotwierane. Jedno z nich wychodziło na gościniec. Gdy w nocy zapalał światło, przechodzący ludzie pokazywali je sobie nawzajem, dziwiąc się, co Czarny Piotr tam robi. Muszę dodać, że dzięki temu oknu posiadamy główną poszlakę, wprawdzie bardzo słabą, ale zawsze jakąś.

— A mianowicie?

— Przypomina pan sobie, że wiadomo, iż dwa dni przed morderstwem przechodził drogą pewien kamieniarz z okolicy, nazwiskiem Slater. Otóż on opowiada, że idąc z Forest Row, zatrzymał się, gdyż jego uwagę zwróciło światło błyszczące pośród gałęzi. Zatrzymawszy się, zobaczył na tle okna cień męskiej głowy. Wyraźnie widział brodę, ale była to inna broda niż ta, którą nosił Carey. Zresztą znał Careya dobrze. Tak przynajmniej mówił. Ale nie trzeba zapominać, że Slater spędził poprzednie dwie godziny w szynku, a z gościńca do okna wcale nie jest tak blisko. Zresztą to, co on opowiada, miało dzieć się w poniedziałek, a morderstwo popełniono w środę.

— No... to jeszcze inna rzecz...

— Koniec końców we wtorek Piotr Carey był w jak najgorszym usposobieniu. Pił tyle, że był cały czerwony jak upiór, a szalał jak dzikie zwierzę. Grasował po całym domu. Dopiero późnym wieczorem wszyscy odetchnęli, gdy zabrał się do swej kabiny. Mniej więcej o drugiej po północy jego córka, która spała przy otwartym oknie, usłyszała straszliwy krzyk dochodzący od strony kabiny. Ale nie była to dla niej rzecz niezwykła, bo Piotr bardzo często krzyczał i wylął nieludzkim głosem, gdy go oszołomiła wódka. Nie zważano też na to.

Alkohol, Rodzina, Przemoc

Alkohol, Szaleństwo,
Szaleniec, Morderstwo,
Krew, Trup

⁶Dundee — miasto portowe na wsch. wybrzeżu Szkocji, nad Morzem Północnym. [przypis edytorski]

⁷purtański — surowy, rygorystyczny. [przypis edytorski]

⁸zeń — z niego. [przypis edytorski]

⁹stopa — anglosaska jednostka długości, ok. 30 cm. [przypis edytorski]

Z rana, około siódmej, jedna ze służących, która wstała wcześniej, zauważyła, że drzwi od kabiny są otwarte. Careya jednak tak się bano, że do południa nikt się nie odważył pójść do niego. Nareszcie zebrano się na odwagę. Zaglądnęto przez uchylone drzwi i ujrzano coś, co odpędziło wszystkich obecnych w dzikim popłochu do miasteczka. W godzinę byłem na miejscu i zająłem się sprawą.

Hopkins przestał na chwilę. Zbierał myśli i nareszcie zaczął:

— Wie pan chyba, że mam silne nerwy. A jednak daję panu słowo, że zimny dreszcz przebiegł mnie od stóp do głów, gdy zjrzałem do chałupy. Muchy brzęczały jak w ulu, a podłoga i ściany wyglądały jak w rzeźni. Carey zawsze nazywał tę chatę kabiną, i w istocie urządzenie było zupełnie takie, jak w kabinie. Można było sądzić, że jest się na okręcie. Hamak, mapy morskie, fotografia „Narwala”, księgi okrętowe na półce; wszystko było tak urządzone, jak zwykle bywa w kapitańskiej kabinie.

Na środku leżał on sam. Twarz miał wykrzywioną w męce śmiertelnej, a wielka, szpakowata broda sterczała do góry. Przez sam środek piersi był przebity ogromnym harpunem, który wyszedł przez plecy i wbił się głęboko w ścianę. Przybito go jak chrząszcza na kartonie. Naturalnie nie żył. Znam pańską metodę, panie Holmes, i zastosowałem ją od razu. Zanim pozwoliłem, aby cokolwiek ruszono, zbadałem jak najdokładniej cały grunt zewnątrz chaty i podłogę wewnątrz pokoju. Nie było żadnych śladów.

— To znaczy, że pan nie spostrzegł żadnych śladów? Czy nie tak?

— Zapewniam pana, że nie było żadnych śladów.

— Kochany panie! Badałem już niejedno przestępstwo, lecz nie natrafiłem jeszcze na takie, które byłoby popełnione przez jakąś latającą istotę. Dopóki zbrodniarz chodzi jak inni ludzie na nogach, dopóty musi zostać po nim jakieś wgłębienie, zdrapanie ziemi, jakaś maleńka zmiana, którą można odkryć przy naukowym badaniu. Niepodobna przypuścić, aby tam, w tym obryzganym krwią pokoju, nie było żadnego śladu, który by dał nam jakiś punkt oparcia.

Holmes wpatrywał się chwilę ironicznie w inspektora, a potem zakończył pytaniem:

— Zatem, jak już wiem, było w pokoju parę sprzętów, które udało się panu ominąć przy badaniu?

Hopkins drgał, ukłuty boleśnie, i zawołał:

— Ach, jakimże byłem głupcem, nie prosząc pana zaraz o pomoc! Ale teraz próżne żale. Tak jest, w pokoju było wiele przedmiotów, które zwracały od razu uwagę. Przede wszystkim harpun, którym dokonano zbrodni. Zerwano go ze ściany, gdzie był przytwierdzony na desce. Dwa inne, również tam umieszczone, pozostały na swoich miejscach. Na harpunie był napis: „Narwal, Dundee”. Z tego można by wnioskować, że morderstwa dokonano w przystępie gniewu, bo morderca chwycił za pierwszą lepszą broń, jaka mu się nasunęła pod rękę. Nadto wiemy, że zbrodnia była popełniona o drugiej po północy, a Piotr Carey był zupełnie ubrany. Wynika stąd, że ów człowiek, który zamordował Careya, był z nim umówiony na schadzkę. To przypuszczenie potwierdza znaleziona na stole flaszka rumu i dwa brudne kieliszki.

— Na to zgoda. Oba wnioski są prawdopodobne. A czy nie było w pokoju jakiegoś innego naczynia z napojem spirytusowym?

— Tak jest. Było. Na skrzyni stał kubek podwójny, tak zwany magiczny, zawierał zaś brandy i whisky. To jednak nie na wiele się przyda i nic prawdopodobnie nie znaczy, bo zawartość była nienaruszona.

— Zawsze jednak dobrze o tym wiedzieć — rzekł Holmes. — A teraz niech nam pan coś powie o przedmiotach, które, pańskim zdaniem, mają większe znaczenie dla sprawy.

— Przede wszystkim ten kapciuch na stole.

— Gdzie?

— Na samym środku. Kapciuch ze skóry psa morskiego ze sznurem do ściągania. Na kłapie od wewnątrz widniały inicjały „P. C.”. W środku było pół uncji¹⁰ mocnego tytoniu, jaki zwykle palą marynarze.

— Doskonale. I cóż jeszcze?

¹⁰uncja — jednostka wagi używana w krajach anglosaskich, równa 1/16 funta, tj. ok. 28 gramów. [przypis edytorski]

Hopkins wyciągnął z kieszeni notatkę oprawną w szare okładki. Zewnętrzna strona była bardzo zniszczona przez używanie. Na pierwszej stronie widniały inicjały „J. H. N.” i data „1883”.

Holmes położył notes przed sobą na stole i zbadał go ze zwykłą drobiazgowością. Hopkins i ja przypatrywaliśmy się tej pracy zza pleców Sherlocka.

Na drugiej stronie były drukowane litery „C. P. R.”, a kilka następných kartek wypełniono cyframi. Dalej kartka z napisem „*Argentine*”¹¹, dalej „*Costa Rica*”¹², trzecia „Sao Paulo”. Po każdej szły kartki z cyframi i znakami.

Holmes skończył oglądać i zwrócił się ku nam.

— Jak pan sądzi, co to jest? — spytał Hopkinsa, mierząc go bystrym spojrzeniem.

— Zdaje się, że to spis papierów giełdowych. Przypuszczam, że „J. H. N.” są inicjałami ajenta¹³, zaś „C. P. R.” to był zapewne jego klient.

— Niech pan spróbuje podłożyć pod to słowo „*Canadian Pacific Railway*”¹⁴ — rzekł Holmes.

Hopkins zaklął po cichu i trzasnął się kulakiem¹⁵ po udzie.

— Ach, cóż to za osioł był ze mnie! Naturalnie, że to tak, jak pan mówi! Ależ w takim razie pozostaje nam tylko odcyfrować inicjały „J. H. N.”. Kazałem już sobie przynieść stare rejestry giełdowe i badałem je całą noc, lecz w roku 1883 nie mogłem odkryć ajenta giełdowego o nazwisku takim, aby inicjały zgodziły się z nim. A jednak czuję dobrze, jak ważne byłoby to odkrycie. Przyzna pan, panie Holmes, że inicjały te oznaczają w każdym razie nazwisko tego drugiego człowieka, czyli, innymi słowy, dadzą nam nazwisko zbrodniarza. A jeszcze trzeba zwrócić uwagę, że odkrycie dokumentu, który odnosi się do takiej masy papierów wartościowych, może nam dać ważne wskazówki co do pobudek mordu.

— Muszę się zgodzić z panem w obu punktach — rzekł Sherlock Holmes. — Przyznaję, że ten notatnik, który wydawał mi się nieznaczącym punktem zaczepienia, dopóki znałem go tylko z opisu w protokole, obecnie przedstawia się zupełnie inaczej i bardzo zmodyfikował teorię, jaką sobie wyrobiłem o morderstwie. Nie ma mowy, aby sprawa mogła mieć taką podstawę, jak myślałem. Czy nie starał się pan dojść, jakie tutaj zanotowano papiery? Przynajmniej niektóre?

— Zarządziłem poszukiwania w bankach, ale zdaje mi się teraz, że to będzie spis akcjonariuszy tej kolei i że minie parę tygodni, nim będziemy mogli pójść tym śladem. Nim przyjdą wiadomości z Ameryki...

Holmes wydobyl lupę i zaczął nią badać okładkę notesu.

— Tutaj coś jest. Okładka ma dziwny kolor. Co to?

— To krew. Zapomniałem panu powiedzieć, że podniosłem ten zeszyt z ziemi.

— Po której stronie była plama?

— Po tej, którą notes upadł na ziemię.

— Zatem wynikałoby stąd, że notes upadł na ziemię już po dokonaniu morderstwa.

— Zapewne. Brałem to w rachubę i przypuszczałem, że wypadł mordercy podczas szybkiej ucieczki. Leżał zaraz przy drzwiach.

— Przy zmarłym i w chałupie nie znaleziono żadnych papierów wartościowych?

— Nie.

— A u niego w domu nie ma nic?

— O ile wiem, nic.

— Czy ma pan jakieś podstawy do przypuszczania, że mamy tu do czynienia z morderstwem dla rabunku?

— Nie. Zdaje mi się, że sprawca nie tknął niczego.

— A jednak mówił pan inaczej, zwracając uwagę na notes. W każdym razie przypadek to interesujący. A jeszcze był tam scyzoryk. Prawda?

— Nie scyzoryk, lecz nóż w pochwie. Leżał u stóp trupa. Pani Carey oświadczyła, że taki nóż miał jej mąż.

¹¹*Argentine Republic* (ang.) — Argentyna. [przypis edytorski]

¹²*Costa Rica* (ang.) — Kostaryka. [przypis edytorski]

¹³*ajent* (daw.) — agent. [przypis edytorski]

¹⁴*Canadian Pacific Railway* (ang.) — Kanadyjska Kolej Pacyficzna. [przypis edytorski]

¹⁵*kulak* — mocno zacisnięta dłoń; pięść. [przypis edytorski]

Holmes zamyślił się głęboko.

— Dobrze. Teraz muszę udać się tam i rzucić okiem na wszystko.

Hopkins nie posiadał się z radości.

— Dziękuję panu! — zawołał. — Kamień mi spada z serca!

Holmes pogroził mu palcem i rzekł:

— Tydzień temu inaczej zabierałbym się do tej sprawy! Byłoby mi o wiele łatwiej. Ale może i teraz na coś się przydam. Mój drogi — zwrócił się do mnie — gdybyś miał chwilę czasu, to byśmy poszli razem. Dobrze? Twoje towarzystwo bardzo by się przydało. Może by pan był tak łaskaw zawołać dorożkę, panie Hopkins. Za kwadrans będziemy gotowi do drogi. Pojedziemy do Forest Row.

Wysiedliśmy na małej stacyjce i pojechaliśmy końmi parę kilometrów przez duży las, szczątki ogromnej puszczy, która długo trzymała w szachu saksońskich najezdników, przez ów niegdyś nieprzenikniony Weald¹⁶, będący przez sześćdziesiąt lat z górą murem obronnym Brytanii. Olbrzymie przestrzenie tego boru padły pod siekierą, tu bowiem były największe huty żelaza i drzewo posłużyło na opał, aby topić kruszec. Obecnie bogatsze złoże na północy przejęły ten przemysł i nic prócz tych spustoszonych zagajników oraz wielkich ran w ziemi nie świadczy o pracy minionych czasów.

Tutaj to, na jednej z polanek, stał mały, niski kamienny dom, z trzech stron otoczony krzakami, do którego prowadziła droga zakręcająca łukiem przez pola. Bliżej gościńca, również otoczony zaroślami, stał mały domek drewniany z jednym oknem i drzwiami zwróconymi w kierunku, skąd właśnie przybywaliśmy. To tam dokonano morderstwa.

Najpierw Hopkins zaprowadził nas do kamiennego domu i przedstawił chudej siwej kobiecie. Była to wdowa po Careyu. Wychudłe, pomarszczone oblicze, wzrok przywykły do wyrażania strachu, oczy zapadłe i obramowane czerwienią świadczyły o całych latach męki i udręczenia, jakie ta kobieta przeszła przy boku męża. Zjawiała się zaraz córka, blada dziewczyna o blond włosach, która z dziwnym wyrazem w niebieskich oczach opowiadała nam, jak się cieszy, że ojca już nie ma, i jak błogosławi rękę, która go usunęła z tego świata.

To był straszny dom i straszna rodzina. Odetchnęliśmy też, gdy znaleźliśmy się znowu na powietrzu, w świetle słońca, kierując się po wąskiej ścieżce ku kabinie. Ścieżkę tę wyźłobił sam Carey, chodząc przez tyle lat codziennie do swej kabiny.

Kabina to był drewniany domek pokryty łupkiem¹⁷, z jednym oknem przy drzwiach i drugim po przeciwnej stronie. Hopkins wyjął z kieszeni klucz i pochylił się, aby otworzyć, lecz nagle zatrzymał się. Na jego twarzy odmalowało się zdziwienie.

— Ktoś tu majstrował — rzekł powoli.

Nie można było temu przeczyć. Drewno było w paru miejscach nacięte, a spod farby przez zadrapania przebijała biel, jak gdyby powstały dopiero przed chwilą.

Holmes zbadał zaraz okno.

— I tutaj ktoś próbował dostać się do środka. Ale nie udało mu się dopiąć celu. Lichy to musiał być włamywacz, skoro cofnął się przed takim zadaniem.

Hopkins oglądał jeszcze drzwi.

— A to ciekawa rzecz! Przysiągłbym, że wczoraj wieczorem nie było tych śladów na drzwiach ani na oknie.

— Zapewne ktoś ciekawy ze wsi albo z miasteczka! — pozwoliłem sobie wtrącić.

— To bardzo nieprawdopodobne.

— Dlaczego? Ciekawość ludzka!

— Mało kto odważyłby się stanąć nogą na tym gruncie. A jeszcze próbować dostać się do tej chaty! Co pan o tym sądzi, panie Holmes?

— Przede wszystkim sądzę, że mamy prawdziwe szczęście!

— Jak to? Więc myśli pan, że zbrodniarz przyszedł na miejsce czynu?

Las, Czas

Złodziej

¹⁶Weald — kraina historyczna w płd.-wsch. Anglii, położona między kredowymi wzgórzami North Downs i South Downs, obejmująca części hrabstw Hampshire, Surrey, West Sussex, East Sussex i Kent, dzieli się na piaszczysty High Weald, gliniasty Low Weald oraz pasmo Greensand Ridge; niegdyś obszar ten pokrywały rozległe lasy. [przypis edytorski]

¹⁷łupkę — rodzaj kamienia charakteryzującego się dużą łupliwością. [przypis edytorski]

— Tak mi się zdaje. I to bardzo prawdopodobne. Przyszedł w nadziei, że zastanie otwarte drzwi. Próbował dostać się do środka, otwierając je za pomocą bardzo ostrego szczyryka. Ale to mu się nie udało. Jak pan sądzi, co teraz uczyni?

Hopkins nie namyślał się ani chwili, lecz odpowiedział:

— Wróci tej nocy z lepszymi narzędziami.

— Tak i ja myślę. I źle by było, gdybyśmy nie czekali tutaj, aby go przyjąć odpowiednio. A teraz przede wszystkim zobaczymy, jak tam wygląda w środku.

Z wnętrza kabiny usunięto ślady tragedii, lecz wszystkie meble stały jeszcze w poikoiku tak jak przed zbrodnią. Holmes dwie godziny badał chatę ze zwykłą pedantyczną dokładnością, skupiając się przy oglądaniu każdego najdrobniejszego przedmiotu. Ale z jego twarzy wyczytałem, że badanie nie odniosło pomyślnych skutków. Tylko raz przerwał swoje poszukiwania, aby zapytać Hopkinsa:

— Czy pan coś ruszał z tej półki?

— Nie, nic nie brałem.

— A jednak czegoś brakuje. W tym kącie półki jest mniej pyłu niż wszędzie indziej. Tu leżała może jakaś książka albo jakiś inny przedmiot podobnego kształtu, na przykład szkatułka. No, na razie nic więcej się nie dowiem. Teraz pójdziemy sobie na spacer do lasu, mój drogi — rzekł, zwracając się do mnie — i poświęcimy parę godzin kwiatom i ptaszkom. Później spotkamy się tutaj z panem Hopkinsem. Wtedy się okaże, czy mamy zejść się tutaj z owym dżentelmenem, który złoży temu domkowi nocną wizytę.

*

W chwili gdy układaliśmy naszą zasadzkę, była godzina jedenasta. Hopkins radził, aby drzwi do chaty pozostawić otwarte, lecz Holmes zwrócił słusznie uwagę, że to obudziłoby podejrzenie owego nieznanego gościa. Zamek był bardzo prosty. Dość było odsunąć go na bok silnym nożem, aby wejść do chaty.

Holmes zaproponował także, aby czekać nie we wnętrzu chaty, lecz w krzakach obok okna. Tym sposobem można będzie, jak mówił, pilnować nieproszonego gościa i zobaczyć, co będzie robił, zapaliwszy światło.

Zaczął się długi i melancholiczny oczekiwanie — oczekiwanie myśliwego, który leży koło leśnego jeziora i czeka na zwierzynę, która ma wyjść napić się wody. Nasze myśli krążyły wokół tego nieznanego człowieka, który miał się nam ukazać, wyjść na nas z ciemności. Cóż to była za zwierzyna? Czy tygrys, którego można schwytać tylko w otwartej walce na kły i pazury, czy też podstępny szakal, straszny tylko dla tchórzów?

W absolutnym milczeniu kuliliśmy się pod krzakami, czekając na dalszy bieg wypadków. Z początku dochodziły nas spieszne kroki zapóźnionych wieśniaków i głosy brzmiałyce od strony wsi. Powoli jednak zapadała absolutna cisza, głosy marły jeden po drugim, z wyjątkiem dalekiego zegara na wieży kościelnej, który co pół godziny wskazywał nam swym dźwiękiem, jak upływa czas, i z wyjątkiem szemrzącego strumienia deszczu, który spływał po liściastym dachu osłaniającym nas ze wszystkich stron.

Wybiło wpół do trzeciej. Było bardzo ciemno, jak zwykle bezpośrednio przed nadejściem zmroku. Nagle usłyszeliśmy, że od strony parkanu zbliżają się wolne, ostrożne kroki.

Ktoś stąpał po drodze. Potem nastąpiła długa chwila ciszy, zacząłem się już obawiać, że wszystko, cośmy słyszeli, było tylko fałszywym alarmem i złudzeniem zmysłów, gdy odezwał się znowu odgłos cichych, ostrożnych kroków, tym razem z drugiej strony chaty. Po chwili usłyszeliśmy także zgrzyt metalu i ciche uderzenia.

Nieznany człowiek usiłował wyłamać zamek przy drzwiach. Tym razem albo jego zręczność była większa, albo posiadał lepsze narzędzie, bo nagle odezwał się szcęk żarzewiałych zawiasów i trzeszczenie drzewa. Potem rozbłysła zapalka, w następnej chwili światło świecy nappełniło wnętrze chaty. Przez firanki i kwiaty patrzyliśmy z zaciekawieniem na rozgrywaną się wewnątrz scenę. Nocny gość był młodym człowiekiem, wyglądał chorobliwie, był chudy, miał czarne wąsiki, wskutek których śmiertelnie błada twarz wydawała się jeszcze bielsza. O ile się zdawało, nie miał więcej jak dwadzieścia lat. Nie widziałem nigdy żadnej ludzkiej istoty, która by budziła tak wielką litość prze-

strachu, jaki ją opanował. Zęby młodego człowieka szczękały głośno, drżał na całym ciele. Był ubrany jak dżentelmen, na głowie miał sukienną czapkę.

Obserwowaliśmy go, jak przestraszonym wzrokiem rozglądał się dokoła siebie. Postawił kawałek świeczki na stole i zniknął nam z oczu w jednym z kątów pokoju. Po chwili powrócił na środek, trzymając w ręku jedną z dużych ksiąg okrętowych, które stały w szeregu na półce. Pochylił się nad stołem i szybko przewracał karty książki, aż wreszcie doszedł widocznie do miejsca, którego szukał. Potem z wściekłością na twarzy zamknął książkę uderzeniem zaciśniętej dłoni, rzucił ją z gniewem w kąt pokoju i zagasił światło.

Ale ledwie miał czas się obrócić i zrobić parę kroków ku drzwiom, gdy już dłoń Hopkinsa spoczęła na jego ramieniu. Z ust wydarł mu się okrzyk przerażenia, kiedy zrozumiał, że został schwytany. Zapaliliśmy znowu świecę; nasz biedny więzień drżał ciągle i wił się rozpaczliwie pod ręką detektywa. Potem osunął się na skrzynię okrętową i bezradnie spoglądał na nas po kolei.

— No, mój piękny młodzieńcze — zawołał Stanley Hopkins — któż jesteś i czego to tutaj szukałeś?

Młody człowiek zerwał się i usiłując zachować przytomność umysłu, spojrzał pytająco prosto w oczy.

— Jesteście panowie — rzekł — jak sędzę, urzędnikami policyjnymi. I wyobrażacie sobie zapewne, że miałem jakiś udział w zamordowaniu kapitana Piotra Careya. Ale zapewniam panów, że jestem niewinny.

— Dobrze, dobrze — odparł Hopkins — to zobaczymy jeszcze. Tymczasem chcielibyśmy się przede wszystkim dowiedzieć, jakie jest pańskie nazwisko.

— Nazywam się John Hopley Neligan.

Widziałem, jak Holmes i Hopkins przelotnie spojrzeli na siebie.

— Co pan tu robił, czego szukał? — pytał Hopkins dalej.

— Czy mogę mówić z panami, licząc na waszą dyskrecję?

— Nie i jeszcze raz nie. Zapytujemy pana w charakterze urzędowym.

— A gdybym nie chciał panom odpowiedzieć na zapytanie?

— Jeżeli nie da pan odpowiedzi, pogorszysz tym tylko swoją sprawę, a śledztwo sądowe i tak wykaże pobudki, jakie panem kierowały.

Młody człowiek drgnął gwałtownie.

— Więc dobrze. Opowiem panom wszystko. Dlaczegoż zresztą miałbym coś taić? Wprawdzie przykro mi pomyśleć, że ten stary skandal na nowo odżyje, a ludzie zaczną o nim znowu mówić, ale trudno, nie mam innego wyjścia. Zapewne słyszeliście panowie kiedyś o Dawsonie i Neliganie, nie?

Mogłem wyraźnie wyczytać z twarzy Hopkinsa, że nazwiska te były mu zupełnie obce. Natomiast Holmes przejawiał ogromne zajęcie.

— Ma pan na myśli bankierów z zachodniej Anglii — rzekł — tych, którzy zbankrutowali, zostawiając milion długów i rujnując doszczętnie połowę wszystkich rodzin w Kornwalii? Neligan zniknął po bankructwie.

— Tak jest, mój panie. Neligan był moim ojcem.

Więc nareszcie zyskałmy jakieś pozytywne wiadomości! A przecież wydawało się, że między tymi dwoma wypadkami, między ucieczką zbankrutowanego bankiera a kapitanem Piotrem Careym, przybitym do ściany własnym harpunem, istnieje przepaść, której nie można zapęłnić szeregiem logicznych, następujących po sobie wydarzeń. Toteż z tym większą uwagą słuchaliśmy opowiadania młodego człowieka.

— Więc, jak mówię, zbiegły bankier Neligan był moim ojcem. Bankructwo to bolało naprawdę tylko jego, Dawson usunął się od wszystkiego. Miałem wówczas dopiero dziesięć lat, ale wystarczyło to już, abym odczuł całą hańbę i zarzut, jaki dotknął naszą rodzinę. Mówiono powszechnie, że mój ojciec skradł wszystkie papiery wartościowe, które leżały w banku w depozycie, i uciekł z nimi. Otóż to nie jest prawda. Był święcie przekonany, że zdoła wszystko doprowadzić do porządku i zapłacić należne pieniądze każdemu wierzycielowi, jeżeli tylko będzie miał czas na przeprowadzenie nowych interesów. Na swoim małym jachcie odplynął do Norwegii tuż przedtem, zanim wydano rozkaz aresztowania go. Przypominam sobie dokładnie tę ostatnią noc, kiedy nas pożegnał, niestety na zawsze. Pozostawił nam spis papierów wartościowych, jakie zabrał ze

sobą, i złożył przysięgę mojej matce, że powróci, aby odzyskać utraconą cześć i zapłacić wszystkie należności, tak aby nikt z tych, którzy mu zawierzyli, nie poniósł szkody.

Odetchnął ciężko i spojrzął na nas spokojniejszym wzrokiem.

— Tak się sprawa naprawdę przedstawia. Ale niestety od owej chwili nie słyszeliśmy już nic o moim biednym ojcu. Jacht i on sam zaginęli bez śladu. Sądziliśmy oboje, moja matka i ja, że nieszczęśliwy ojciec, okręt i zabrane papiery wartościowe leżą na dnie morza. Ale mieliśmy jednego wiernego przyjaciela, pewnego kupca, który wiedział o wszystkim. Otóż odkrył on niedawno, że kilka papierów wartościowych, które ojciec miał przy sobie, pojawiło się na targu londyńskim. Łatwo wyobrażają sobie panowie nasze zdumienie i przerażenie. Całe miesiące straciłem na to, aby wykryć, jaką drogą dostały się te pieniądze na giełdę, wreszcie po długich poszukiwaniach, trudnościach i omyłkach zdołałem stwierdzić, że sprzedawał je kapitan Piotr Carey, właściciel tej chaty.

Oczywiście, starałem się dowiedzieć jakichś szczegółów o tym człowieku. Nie było to zbyt trudne do przeprowadzenia. Wykryłem, że Piotr Carey był komendantem statku polującego na wieloryby i że właśnie powracał z wód polarnych wówczas, kiedy mój ojciec popłynął do Norwegii. Jesień owego roku była bardzo burzliwa, bez przerwy trwały długie niepogody i orkany wywoływane południowym wichrem. Nie było nieprawdopodobne, że jacht mojego ojca został zapędzony na północ i że tam spotkał okręt Piotra Careya. Bez względu na to, jak się sprawa przedstawiała, przede wszystkim zajmowało mnie pytanie, co się stało z moim ojcem. Chodziło mi o zrehabilitowanie jego pamięci. Gdybym z pomocą świadectwa Piotra Careya zdołał dowieść, w jaki sposób te papiery wartościowe dostały się na giełdę, byłoby to także dowodem, że mój ojciec ich nie sprzedał i że nie miał żadnej osobistej korzyści z tego, że zabrał je z sobą.

Przybyłem do Sussex, zamierzając zobaczyć się z nim i rozmówić. Ale właśnie wtedy nastąpiła jego nagła śmierć. W sprawozdaniu o oględzinach miejsca zbrodni wyczytałem opis jego kabiny, była tam także wzmianka, że kapitan przechowywał w niej stare księgi urzędowe swojego okrętu. Przyszło mi na myśl, że gdybym zobaczył, co się działo w sierpniu 1883 roku na pokładzie „Narwala”, może w ten sposób mógłbym rozjaśnić zagadkę śmierci mojego ojca. Próbowałem wczoraj w nocy wdrzeć się do chaty i zobaczyć te księgi, ale nie starczyło mi sił na otwarcie drzwi. Dzisiaj ponowiłem próbę, tym razem ze szczęśliwym wynikiem. Niestety, z niezmierną rozpaczą przekonałem się, że karty dotyczące tego miesiąca są wydarte z księgi; w tej samej chwili wpadłem w ręce panów jako więzień.

— Czy to już wszystko? — zapytał Hopkins stanowczym głosem.

— Tak jest, opowiedziałem panom wszystko.

Odwrócił głowę, kiedy to mówił, aby uniknąć naszego wzroku.

— Więc istotnie nie może pan powiedzieć nic więcej?

Zawahał się.

— Nie, nic.

— Nie było pana tutaj przed wczorajszą nocą?

— Nie.

— Więc jakże pan potrafi nam to wytłumaczyć? — zawołał Hopkins triumfującym głosem, podnosząc znaleziony przez siebie notatnik, zawierający na pierwszej kartce inicjały naszego więźnia, a na okładce krwawe ślady.

Nieszczęśliwy człowiek pochylił z rozpaczą głowę, zakrył twarz rękami i drżał na całym ciele. Widocznie złamał go ten cios.

— Skąd pan ma ten notatnik? — zawołał. — Nic o tym nie wiedziałem, myślałem, że zgubiłem go w hotelu.

— To już najzupełniej wystarcza — rzekł Hopkins surowo. — To, co może pan jeszcze powiedzieć na swoją obronę, powie już przed sądem. Teraz uda się pan ze mną do urzędu policyjnego. Więc, panie Holmes, serdecznie dziękuję panu i pańskiemu przyjacielowi, że tak uprzejmie i łaskawie pospieszyliście mi z pomocą na moje wezwanie. A chociaż wobec zwrotu, jaki sprawa przybrała, obecność panów była tu zbyt liczna, bo i własnymi siłami byłbym sprawę doprowadził do obecnego pomyślnego wyniku, mimo to jestem panom niezmiernie zobowiązany. W hotelu w Brambletye są przygotowane dla panów pokoje, jeżeli pozwolą mi panowie towarzyszyć sobie, możemy się tam razem udać za chwilę.

— Cóż sądzisz o tej sprawie, Watsonie? — pytał Holmes nazajutrz, kiedy powracaliśmy do naszego mieszkania na Baker Street.

— O ile mogę poznać, nie jesteś szczególnie zadowolony z wyników śledztwa.

— Ależ przeciwnie, kochany przyjacielu, najzupełniej. Ale mimo to nie odważyłbym się twierdzić, że metoda, jakiej używa Hopkins, jest dobra i godna polecenia. W ogóle pan Stanley Hopkins jak dotąd sprawił mi rozczarowanie. Spodziewałem się po nim czegoś lepszego. Trzeba zawsze mieć przed oczyma wszystkie możliwe alternatywy i wyruszyć do boju w pełnym rynsztunku przeciwko wszelkim możliwościom. To musi być pierwszą i główną zasadą każdego śledztwa kryminalnego.

— A jakąż alternatywę można by tutaj jeszcze przypuścić?

— Można by znaleźć jeszcze inne wytłumaczenie — rzekł Holmes. — I to jest właśnie linia dochodzeń, jakie prowadzę. Być może, że nie doprowadzi do żadnego rezultatu. Więc tymczasem nie chcę o niej mówić. Bądź co bądź jednak pójdę tą drogą aż do końca.

W domu na Baker Street czekało na Holmesa kilka listów. Wziął jeden z nich, otworzył i zaledwie rzucił okiem, zaśmiał się triumfująco.

— Wybornie, Watsonie, wybornie. Otóż widzisz, alternatywa zaczyna się rozwijać i uplastyczniać. Czy masz blankiety telegraficzne?... Dobrze, więc bądź łaskaw napisać następujące depesze:

Sumner, agent okrętowy, Ratcliff Highway. Proszę przysłać trzech ludzi, aby przybyli jutro o dziesiątej rano. Basil.

— Znają mnie tam pod tym imieniem — dodał objaśniająco. — A teraz jeszcze jedna depesza:

Inspektor Stanley Hopkins, 46 Lord Street, Brixton. Proszę przyjść jutro na śniadanie o wpół do dziesiątej. Sprawa ważna. Proszę zatelegrafować, jeśli nie będzie pan mógł przybyć. Sherlock Holmes.

Punktualnie o umówionej godzinie przybył inspektor Hopkins i zasiedliśmy razem do wybornego śniadania, które przygotowała poczciwa pani Hudson, nasza wieloletnia gospodyni.

Młody urzędnik policyjny był niezmiernie uradowany swym triumfem i ciągle powracał do tego samego tematu.

— Więc rzeczywiście pan sądzi, że rozwiązanie, do jakiego pan doszedł, jest trafne? Że nie można już nic dodać w tej sprawie? — spytał Holmes.

— Nigdy w życiu nie spotkałem wypadku mniej skomplikowanego i bardziej jasnego.

— A jednak nie odważyłbym się twierdzić, że wszystko tak jasno wynika jedno z drugiego.

— Jestem wprost zdumiony tym, co pan mówi, panie Holmes. Czy można tu jeszcze w coś wątpić?

— Czy wytłumaczenie sprawy, jakie pan sobie wytworzył, tłumaczy także każdy poszczególny punkt?

— Niewątpliwie. Dowiedziałem się, że młody Neligan w dniu popełnienia zbrodni zamieszkał w hotelu w Brambletye. Przybył tam pod pozorem zwiedzania okolicy. Jego pokój znajdował się na parterze, mógł więc wychodzić w dzień i w nocy, kiedy mu się podobało. Też samej nocy udał się do Woodman's Lee, zobaczył w kabinie Piotra Careya i wszczął z nim kłótnię, podczas której zabił go harpunem. Potem, przerażony tym, co uczynił, uciekł z chaty, a przy tej sposobności zgubił notatnik, który przyniósł z sobą, aby wypytać Piotra Careya o te rozmaite papiery wartościowe. Do tego nawet się przyznaje. Zapewne pan zauważył, że niektóre z papierów były oznaczone haczykami, a inne — znaczna większość — nie były. Otóż tych oznaczonych poszukiwano na giełdzie londyńskiej. Co do innych, Neligan przypuszczał zapewne, że są one w ręku Piotra Careya. I znowu sam młody człowiek przyznaje, że usilnie starał się je wykryć i dać w ten sposób zadośćuczynienie wierzycielom swego ojca. Po dokonanych morderstwie i po ucieczce przez dłuższy czas nie śmiał się zbliżyć do chaty, wreszcie chęć otrzymania wiadomości, których potrzebował, przemogła bojaźń. Przecież to wszystko nader jasne i proste.

Holmes uśmiechnął się nieznacznie i z niedowierzaniem potrząsnął głową.

— O ile mi się zdaje, panie Hopkins, ta sprawa ma jedną słabą stronę, to mianowicie, że jest absolutnie niemożliwa. Czy próbował pan kiedyś przebić jakieś ciało harpunem? Nie? A, to wielka szkoda. No, no, mój drogi panie, powinienes koniecznie poświęcić tym szczegółom nieco uwagi. Mój przyjaciel Watson mógłby panu opowiedzieć, że niedawno całe jedno przedpołudnie oddawałem się temu ćwiczeniu. Nie jest to wcale łatwa sprawa, jakby się mogło wydawać, i wymaga bardzo silnego i wprawnego ramienia. Ale to jeszcze nie wszystko. Ten cios był zadany z taką siłą, że ostrze broni przebiło ciało na wskroś i utkwilo głęboko w drewnianej ścianie. Czy może pan sobie wyobrazić, że ten bezkrwisty, chudy młodzieniec miałby dość siły do podobnego uderzenia? I czy można przypuścić, że obaj, on i Czarny Piotr, zapijali się późno w nocy rumem z wodą? A dalej: czy to był jego profil, który dwie noce przedtem widziano na szybie? Nie, nie, kochany panie Hopkins, musimy poszukać innego sprawcy, bardziej męskiego i groźnego.

Podczas mowy Sherlocka Holmesa twarz młodego detektywa wydłużała się coraz bardziej. Wszystkie jego nadzieje i oczekiwania waliły się beznadziejnie. Mimo to nie chciał bez walki ustąpić ze stanowiska.

— Nie może pan jednak zaprzeczyć, panie Holmes, że Neligan był owej nocy w kabine Piotra Careya. Zgubiony notatnik jest aż nazbyt wystarczającym dowodem. I zdaje mi się, że mam dość dowodów, aby sąd przyznał słuszność moim twierdzeniom. Nawet w takim razie, gdyby pan zdołał wynaleźć jeszcze jakiś kruczek. A zresztą, panie Holmes, ja mam w ręku mojego zbrodniarza. A ten pański, ten bardziej męski i groźny sprawca, gdzież się znajduje?

— Jak mi się zdaje, idzie w tej chwili po schodach — odparł Holmes wesoło. — Sądzę, że dobrze uczynisz, Watsonie, biorąc rewolwer do ręki.

Holmes powstał z krzesła i położył na bocznym stoliku jakiś papier.

— Tak, teraz jesteśmy gotowi — rzekł.

Usłyszeliśmy kilka zachrypłych głosów w przedpokoju, a równocześnie pani Hudson otworzyła drzwi, zawiadamiając nas, że przybyło trzech ludzi, którzy pytają się o kapitana Basila.

— Niech pani wpuszcza ich kolejno, jednego po drugim — rzekł Holmes.

Pierwszy, który wszedł, był małym, krępyim człowiekiem z czerwonymi policzkami i lekko siwiejącymi włosami na skroniach. Holmes sięgnął do kieszeni i wyjął jakiś list.

— Jak się nazywasz? — zapytał.

— James Lancaster.

— Bardzo mi przykro, mój dobry obywatelu, ale załoga statku jest już skompletowana. Oto masz tu pół suwerena¹⁸ za fatygę. Ale tymczasem proszę bardzo, wejdź do tamtego pokoju i zaczekaj tam kilka minut.

Drugi marynarz był wysoką, chudą postacią z cienkimi płowymi włosami i z zapadłymi białozłotymi policzkami. Nazywał się Hugh Pattins. I on otrzymał odmowną odpowiedź, pół suwerena nagrody za to, że przyszedł, a wreszcie polecenie, aby zatrzymał się w pokoju obok.

Trzeci człowiek starający się o zajęcie na statku sprawiał dziwne wrażenie. Dzika twarz buldoga była okolona gęstym zarostem, dawno niestrzyżonym; miał czarne wąsy i brodę, a dwoje zuchwałych oczu żarzyło się pod cieniem gęstych, krzaczastych, zwisających brwi. Wchodząc do pokoju, pozdrowił nas i stanął w pozycji marynarza, obracając w rękach okrągłą czapeczkę.

— Nazywasz się? — pytał Holmes.

— Patrick Cairus.

— Władasz harpunem?

— Tak jest, panie kapitanie, polowałem dwadzieścia sześć razy.

— Jesteś gotów do podróży na Morze Północne¹⁹?

— Tak, panie kapitanie.

— Jakiej żądasz płacy?

¹⁸suweren — angielska złota moneta o wartości jednego funta. [przypis edytorski]

¹⁹Morze Północne — morze szelfowe przy brzegach półn. Europy, część Oceanu Atlantyckiego. [przypis edytorski]

- Osiem funtów²⁰ na miesiąc.
- Kiedy mógłbyś wyruszyć w drogę? Czy zaraz?
- Skoro tylko poczynię najpotrzebniejsze zakupy.
- Masz jakieś świadectwa?
- Tak, panie kapitanie.

Wyciągnął z kieszeni paczkę zniszczonych i zatłuszczonych papierów. Holmes przejrzał je szybko, a potem zwrócił stojącemu naprzeciw niego.

— Jesteś człowiekiem, jakiego potrzebuję — rzekł. — Tam na stoliku leży kontrakt. Musisz go tylko podpisać i wszystko będzie w porządku.

Marynarz przeszedł niezgrabnie przez pokój i ujął pióro w rękę.

— Czy tutaj mam podpisać? — zapytał, pochylając się nad stołem.

Holmes nagłym ruchem nachylił się nad nim i zarzucił mu obie ręce na szyję.

— Tu właśnie! — zawołał.

Usłyszałem brzęk jak gdyby stalowego łańcucha, a zaraz potem ryk niby rozszalonego byka. Chwilę później Holmes i marynarz tarzali się po ziemi, mocując się ze sobą. Był to człowiek tak strasznie silny, że nawet w kajdankach, które Holmes zarzucił mu na ręce z ogromną zręcznością, bardzo szybko obezwładniłby mojego przyjaciela, gdybyśmy obaj z Hopkinsem nie skoczyli mu na pomoc. Dopiero kiedy dotknąłem jego czoła zimną lufą rewolweru, zrozumiał, że wszelki opór jest daremny. Skrępowaliśmy mu nogi sznurem, po czym powstaliśmy zadyszani i zmęczeni straszną walką.

— Muszę doprawdy prosić pana, panie Hopkins, o przebaczenie za ten epizod — mówił Sherlock Holmes. — Obawiam się, że jajecznicza zupełnie wystygła. Bądź co bądź jednak nie wątpię, że reszta śniadania będzie panu smakować jeszcze bardziej niż wcześniej, zwłaszcza wobec tego, że szczęśliwie doprowadziliśmy naszą sprawę do tak pomyślnego zakończenia.

Stanley Hopkins stał jak posąg, oniemiał ze zdumienia.

— Nie mam pojęcia, co o tym wszystkim myśleć, panie Holmes — wyjąkał wreszcie, czerwieniejąc. — Zdaje mi się teraz, że od samego początku sprawy postępowałem jak idiota. Teraz rozumiem dobrze, że nie powinienem był ani na chwilę zapominać, iż byłem uczniem w tym wypadku, a pan nauczycielem i mistrzem. Nawet teraz, kiedy widzę, co pan zrobił, nie wiem wcale, ani dlaczego pan to zrobił, ani co to wszystko w ogóle znaczy.

Holmes uśmiechnął się i wesoło odpowiedział:

— No, no, nie ma się czym martwić, wszyscy uczymy się przez doświadczenie.

— A pańską nauką było teraz to, że nigdy, nawet gdyby sprawa wydawała się niezmiernie prosta, nie należy tracić z oczu alternatywy. Był pan tak zaabsorbowany myślą o młodym Neliganie, że w pańskim umyśle nie było już miejsca na coś innego, więc także oczywiście na Patricka Cairusa, rzeczywistego mordercę Piotra Careya.

Nagle naszą spokojną rozmowę przerwał zachrypły głos marynarza.

— Nie mam do pana urazy — rzekł — za to, że mnie pan tak podszedł i tak gwałtownie schwytał, ale chciałbym, aby pan nazywał sprawę tak, jak należy. Mówi pan, że zamordowałem Piotra Careya, a ja twierdzę, że Piotra Careya zabiłem. I to jest wielka różnica. Być może, że pan nie wierzy temu, co mówię, być może, że sądzi pan, iż chcę pana okłamać. Ale to nie zmienia sprawy.

— Ależ bynajmniej, mój człowieku — odparł Holmes. — Opowiedz nam wszystko, jak było, a chętnie ci uwierzmy.

— To da się krótko opowiedzieć, a przysięgam na Boga, że każde słowo będzie prawdą. O, znałem dobrze Czarnego Piotra; kiedy wyciągnął nóż z kieszeni, przebiłem go harpunem z całej siły. Tu się nie można było wahać, wiedziałem z całą pewnością, że jeden z nas musi zginąć: ja albo on. Więc on umarł. Tego nie można nazwać morderstwem. A zresztą dzisiaj wszystko mi jedno, równie dobrze zginę na szubienicy, jak mógłbym zginąć przebito nożem Czarnego Piotra.

— Po cóż przyszedłeś do niego? — pytał Holmes.

— Opowiem panom wszystko od samego początku. Tylko, jeżeli łaska, posadźcie mnie na krześle, bo mi tak strasznie niewygodnie mówić. Było to w roku 1883, kiedy

²⁰funt szterling — angielska jednostka monetarna; dawniej funt dzielił się na 20 szylingów po 12 pensów każdy. [przypis edytorski]

Bijatyka

Nauka

Morderstwo

to się stało, w sierpniu. Piotr Carey był właścicielem „Narvala”, a ja drugim harpunnikiem. Już prawie wracaliśmy z Morza Lodowatego²¹, walcząc z przeciwnymi wiatrami i olbrzymią falą morską, kiedy spotkaliśmy po drodze mały okręcik pędzony wiatrem ku północy. Na statku był tylko jeden człowiek, nasz rodak. Załoga sądziła, że okręt zatonie, i dlatego wszyscy wsiedli do łodzi ratunkowej, aby udać się ku wybrzeżom norweskim. Jak sądzę jednak, wszyscy zatonęli. Tylko sam właściciel pozostał na statku. Widząc jego rozpaczliwe położenie, wzięliśmy go na nasz pokład; kapitan Piotr Carey zabrał go do swojej kajuty i obaj prowadzili tam długie rozmowy. Jedynym pakunkiem, jaki zabrał z sobą, przechodząc na nasz okręt, była cynkowa puszka. O ile mi wiadomo, nikt nigdy nie dowiedział się jego nazwiska, zresztą już następnej nocy nieznajomy zniknął w tajemniczy sposób. Opowiadano, że albo zrozpaczony skoczył do morza, albo też zmiotła go wysoka fala, która szalała przez całą noc. Tylko jeden człowiek wiedział, co się naprawdę stało z nieznajomym, a tym człowiekiem byłem ja. Bo widziałem na własne oczy, jak Piotr Carey pochwyił go w nocy wpół i przerzucił przez burtę. Stało się to późno w nocy, na dwa dni przed tym, jak ujrzeliśmy światła i brzeg Szetlandów²². Zachowałem w tajemnicy ten wypadek, czekając cierpliwie, co będzie dalej — opowiadał Cairus. — W Szkocji kapitan z łatwością zatuszował całą sprawę, nikt zresztą nie wypytywał się dokładnie. Przyjęto do wiadomości, że jakiś obcy poniósł śmierć wskutek nieszczęśliwego wypadku, nikomu nie zależało na tym, aby zbadać tę sprawę. Niedługo potem Piotr Carey sprzedał okręt i przestał polować na wieloryby. Wiele lat minęło, zanim zdołałem odszukać jego mieszkanie. Ale byłem niemal pewny, że popełnił zbrodnię dlatego, aby przywłaszczyć sobie zawartość puszki cynkowej; przypuszczałem też, że będzie mógł mi zapłacić, abym milczał dalej.

Za pośrednictwem pewnego majtka, który spotkał Czarnego Piotra w Londynie, dowiedziałem się, gdzie mieszka, i udałem się do niego, by zażądać nagrody za milczenie. Pierwszej nocy mówił ze mną bardzo rozsądnie i oświadczył, że gotów jest mi dać pewną sumę, która by wystarczyła mi na życie i pozwoliła porzucić żmudną pracę na morzu. W dwa dni później mieliśmy ostatecznie załatwić sprawę. Kiedy przyszedłem, kapitan był prawie zupełnie pijany, we wściekłym humorze. Usiedliśmy przy stole, zaczęliśmy pić i rozmawiać o dawnych, razem spędzonych czasach; ale im więcej pił, tym mniej podobał mi się jego wyraz twarzy.

Zauważyłem harpun wiszący na ścianie. Przyszło mi na myśl, że mógłbym go użyć, gdyby się na mnie rzucił.

Niedługo na to czekałem. Nagle zerwał się, plując i przeklinając, w oczach błyszczała mu żądza mordu, w rękę trzymał wielki nóż. Ale nie miał czasu dobyć go z pochwy; padł na ścianę z harpunem w boku jakby rażony błyskawicą.

Boże, jak strasznie krzyknął! A jego wykrzywiona bólem twarz staje mi co noc przed oczyma i nie pozwala zasnąć. Potem zmarł. Stałem na środku kabiny, krew coraz silniej tryskała z rany, nasłuchiwałem przez chwilę. Ale dokoła panowała zupełna cisza, przestrach ustąpił, znowu nabrałem odwagi. Obejrzałem się dokoła, tam na półce nad książkami stała puszka cynkowa. Miałem do niej takie samo prawo jak Piotr Carey, więc zabrałem ją i wyszedłem z chaty. Tylko, jak nierozsądny głupiec, pozostawiłem na stole kapciuch z tytoniem.

Teraz opowiem panom najzabawniejszą część całej historii. Ledwie wyszedłem z kabiny, usłyszałem nagle jakiś szmer. Cofnąłem się ze ścieżki i ukryłem się w pobliskich zaroślach. Jakiś człowiek skradał się ku chacie, wszedł do środka, krzyknął, jak gdyby zobaczył upiora, a potem zaczął uciekać nieprzytomny, gdzie go oczy niosły, aż wreszcie zginął w oddali. Kto to był albo też czego chciał, nie umiem odgadnąć. Gdy już zniknął w ciemnościach nocy, ruszyłem w drogę; przeszedłem dziesięć mil²³ piechotą, w Tunbridge Wells wsiałem do pociągu i przybyłem do Londynu, niewiele mędrszy niż wcześniej.

²¹*Morze Lodowate* — Ocean Arktyczny, rozciągający się wokół bieguna północnego, między kontynentem Eurazji a Ameryką Północną. [przypis edytorski]

²²*Szetlandy* — archipeląg na Oceanie Atlantyckim, położony ok. 200 km na północ od wybrzeży Wielkiej Brytanii; odrębna jednostka administracyjna Szkocji. [przypis edytorski]

²³*mila angielska* — anglosaska miara odległości równa ok. 1,6 km. [przypis edytorski]

Kiedy wreszcie znalazłem sposobność, aby otworzyć puszkę, przekonałem się, że nie było w niej pieniędzy, lecz papiery wartościowe. A papierów nie śmiałem sprzedawać. Tak więc straciłem moc nad Czarnym Piotrem i zostałem w Londynie bez szylinga²⁴ w kieszeni. Trzeba się było obejrzeć za jakimś zajęciem. Wtedy znalazłem to ogłoszenie, zachęciła mnie wysoka płaca, poszedłem do ajenta okrętowego, a on przysłał mnie tutaj. To wszystko, co wiem. I powtarzam: za to, że zabiłem Czarnego Piotra, sąd powinien mi być tylko wdzięczny, ponieważ oszczędziłem sprawiedliwości kosztów konopnego sznura do szubienicy.

Holmes powstał i zapalił fajkę.

— Bardzo jasne i dokładne sprawozdanie. A teraz sądzę, panie Hopkins, że nie będzie pan tracił czasu i odprowadzi pan swojego więźnia w bezpieczne miejsce. Ten pokój nie nadaje się wcale na celę więzienną, a przy tym pan Patrick Cairus zajmuje swą osobą zbyt wielki kawał naszego dywanu.

— Panie Holmes — rzekł Hopkins z rozrzewnieniem — nie wiem, w jaki sposób wyrazić panu moją wdzięczność. Chociaż, prawdę mówiąc, i teraz jeszcze niezbyt dobrze pojmuję, jaką drogą doszedł pan do tego wyniku.

— Po prostu dlatego, że od początku miałem szczęście trafić na właściwą wskazówkę. I nie zaprzeczam wcale, że gdybym od razu wiedział o tym znalezionym notatniku, może i mnie wprowadziłby na fałszywy trop, jak stało się to z panem. Ale wszystko, co słyszałem i wiedziałem, kazało mi iść właśnie w tym, a nie innym kierunku. Ta zdumiewająca siła fizyczna, ta zręczność w rzucaniu harpunem, rozwodniony rum, ten kapciuch ze skóry psa morskiego, napełniony grubym, lichym tytoniem — wszystko dowodziło, że zbrodnię popełnił marynarz, i to poławiacz wielorybów. Byłem też stanowczo przekonany, że inicjały P. C. na kapciuchu były tylko przypadkowym zbiegiem okoliczności, a nie inicjałami Piotra Careya, co wynikało już z tego, że — jak zeznała rodzina — palił niewiele, a przy tym nie znaleziono fajki w jego kabinie. Przypomina pan sobie zapewne, że pytałem, czy znajdowała się tam whisky, czy brandy. A czy sądzi pan, że można by znaleźć jakiegoś szczura lądowego, który mając do dyspozycji rozmaite wódki, piłby rum? Tak jest, panie Hopkins, byłem pewny, że sprawca jest marynarzem.

— No, a jakże zdołał go pan odnaleźć?

— Mój drogi panie, to był problem niezmiernie łatwy do rozwiązania. Przypuściwszy, że człowiek ten był marynarzem, trzeba było przypuścić dalej, że znał kapitana, czyli, innymi słowy, należał do załogi „Narvala”. Zasięgnąłem bowiem wiadomości, że kapitan Piotr Carey nie posiadał nigdy innego okrętu. Trzy dni poświęciłem na to, aby telegrafować do Dundee i sprawdzić nazwiska całej załogi „Narvala” w roku 1883.

Kiedy wśród nich znalazłem nazwisko Patricka Cairusa i dowiedziałem się, że był zakontraktowany jako harpunnik, poszukiwania szybko zaczęły zbliżać się ku końcowi.

Przypuszczałem, że człowiek ten prawdopodobnie znajduje się w Londynie i że chętnie opuściłby stały ląd na pewien czas. Dlatego spędziłem kilka dni w East Endzie, wymyśliłem wyprawę polarną, ogłosiłem bardzo zachęcające warunki dla harpunników, którzy chcieliby wstąpić do służby kapitana Basila... i oto widzi pan wynik mojej pracy.

— Cudowna historia — wołał Hopkins z uniesieniem — cudowna historia.

— Trzeba teraz jak najszybciej pomyśleć o wypuszczeniu z więzienia młodego Neligana — mówił Holmes. — Mam też nadzieję, panie Hopkins, że przeprosi go pan należycie za przykrości, jakich doznał z powodu pana. Należy oddać mu puszkę cynkową. Oczywiście wszystkie papiery wartościowe sprzedane przez Piotra Careya są na zawsze stracone. Dorożka czeka na dole, panie Hopkins, może pan odwiedzić nią więźnia. A gdyby potrzebował mnie pan w trakcie procesu, mój adres i adres Watsona będzie gdzieś w Norwegii. Szczegóły prześlę później.

Alkohol

²⁴szyling — dawna angielska jednostka monetarna; szyling dzielił się na 12 pensów, 20 szylingów tworzyło funt. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/doyle-czarny-piotr/>

Tekst opracowany na podstawie: Arthur Conan Doyle, Tajemnica oblubienicy i inne nowele, Kraków : G. Gebethner ; Warszawa : Gebethner i Wolf, 1905.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (wolnelektury.pl). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Jacek Barański, Marianna Czabator.

ISBN 978-83-288-8325-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.